



Tadeusz Fijewski w „Chorym z urojenia”

Fot. L. Myszkowski

17 lutego 1673 roku pan Molier grał po raz czwarty Argana we własnej komedii „Chory z urojenia”. Jako Argan wypowiadał następujące słowa pod adresem siebie samego, to znaczy Moliera: „Gdybym ja był na miejscu lekarzy, zemściłbym się za jego zuchwalstwo: gdy mu się zdarzy zachorować, pozwoiłbym mu skapieć bez pomocy”. Były to prorocze słowa. W parę chwil później Molier zasłabł na scenie. Lekarze odmówili pomocy. Molier umarł.

Sądzę, że warszawscy lekarze nie są tak mściwi, a jednak gdyby Molier pojawił się na widowni Teatru Polskiego na tymże „Chorym z urojenia” — miałby prawo umrzeć drugi raz. „Chory z urojenia” nie jest komedią tak prostacką, na jaką — w tutejszym ujęciu — wygląda. Pisał ją człowiek bardzo chory i w tarapatach. Bynajmniej nie chodziło mu o płaską satyrę na lekarzy (w każdym razie nie tylko), lecz o szerszą parabolę o życiu i śmierci. Zawarł w tej komedii metaforyczną przypowieść o człowieku na pozór zdrowym, który przeczuwa nieuchronnie zbliżającą się chorobę i koniec. Argan jest więc postacią skomplikowaną i nie na darmo w zamieszczonym w programie przedstawienia obszernym i wnikliwym esejem Maciej Żurowski opowiada na kilkunastu stronicach, jak na przestrzeni dziejów teatru francuskiego zmieniała się koncepcja tej postaci. Robi to raczej — na darmo. Dziwne, że Wanda Laskowska, reżyser warszawskiego przedstawienia, nie zadała sobie trudu, aby przeczytać ten esej.

Kto by sobie jednak zwracał głowę takimi głupstwami. W warszawskim

przedstawieniu koncepcji nie ma żadnej, a myśl istnieje w stanie szczątkowym.

Trudno dość dokładnie określić, jaka to choroba, ale sądząc po objawach, jest to choroba poważna.

Objawy widoczne są już w kształcie zewnętrznym widowiska: Zofia Pietrusińska zbudowała na scenie budowlę

Casus inoperabilis

Maciej
Karpiński

ze złego snu tenora operowego, a i to bez większego skutku. Za to skutecznie skrępowała ruchy aktorów obrydliwymi kostiumami. Argan paraduje w jakimś przedziwnym szlafroku, kobiety mają suknie kolombin z objazdowej trupy, uszyte z podszewki, a mężczyźni ubrani są tak, że doprawdy boki zrywać. Jedno śmieszy — drugie tumani, trzecie przestrasza.

W takich oto warunkach odbywa się powolna recytacja tekstu, połączona z dość chaotycznymi ruchami postaci. Jedną jedyną Krystyna Królówna usiłuje tchnąć życie w postać Antosi i udaje się jej to dzięki temperamentowi i zrozumieniu konwencji. Pozostali wykonawcy, w scenerii i kostiumach

z okolic komedii dell'arte grają jednak tak, jakby chcieli zabić czas w oczekiwaniu na pociąg. Na tym miejscu warto im zadedykować anegdotkę. Pewnego razu Józef Wegrzyn, jak to miał w zwyczaju, potwornie męczył się nad rolą. Chodził po scenie i dramatycznie wykrzykiwał: „Jak to grać? Jak to grać?”. Wtedy z widowni, przypatrującej się próbie, podniósł się

aktor — emeryt i wyseplenil: „Józciu — szybciej!”

Zmęczeni śląmazarnym tempem przedstawienia z nadzieją oczekujemy baletowych intermedii. Bodajmy ich nie doczekaliśmy. Układy pantomimiczne Góreckiego są delikatnie mówiąc, niezdarne, nie mówiąc o wykonawcach. W sumie powstaje z intermedii coś między niedobrą operą a złym teatrykiem dla przedszkolaków, gdzie w dodatku wszyscy występują z musu. Uczciwie trzeba zaznaczyć, że najbardziej mężczy się p. Stoor w rolach Poliszynela oraz niedźwiedzia, o czym zresztą sygnalizuje wyrazem twarzy.

Jaka choroba toczy tę scenę? Bo że nie jest to choroba urojona — to pew-

ne. W jednym, jedynym przedstawieniu mamy do czynienia z objawami następującymi: ogólnie osłabienie tempa, złośliwy nowotwór scenograficzny, niedowład koncepcji ogólnej (całość „Chorego z urojenia”) i szczegółowej (wszystkie bez wyjątku postacie), wyraźny wzrost temperatury niedobrego humoru na scenie — gwałtowny spadek temperatury na widowni, zbieżenie galek ocznych (u widza). Ciężka jest diagnoza przy takich objawach. Lekarza powinna cechować nadzieja na ozdrowienie pacjenta. I chociaż w tym wypadku optymizm jest już na wyczerpaniu, ostatkiem woli powstrzymuję się przed wypisaniem diagnozy ostatecznej. A po „Chorym z urojenia” beżlitosna diagnoza powinna brzmieć: pacjent — Teatr Polski w Warszawie, diagnoza — casus inoperabilis. A to znaczy po łacinie: przypadek nie nadający się do operacji.

P.S. Opisane powyżej niefortunne widowisko zostało wystawione z okazji jubileuszu Tadeusza Fijewskiego. Z punktu widzenia jubileuszowego doczytają repertuarowa był słuszną, bo w tej samej sztuce Aktor debiutował na scenie pięćdziesiąt lat temu. Tym bardziej przykro, że jubileuszowa impreza przybrała kształt tak oplakany.

Nie zmieniła to jednak faktu, że winniśmy Jubilatowi serdeczne życzenia bardzo wielu jeszcze lat na scenie i równie wielu znakomych ról. A to ostatnie nie zawsze zależy od aktora, czego mamy najlepszy dowód. Tym gorętsze są więc życzenia.

Teatr Polski w Warszawie, Molier: „Chory z urojenia”. Reżyseria — W. Laskowska. Scenografia: Zofia Pietrusińska. Premiera 26.II.1972.